



7

RAZY
DZIŚ



powieść autorki bestsellerowej trylogii [delirium]

LAUREN OLIVER

L A U R E N
O L I V E R

7
R A Z Y
D Z I Ś

TŁUMACZENIE
MATEUSZ BOROWSKI



KRAKÓW 2015

Tytuł oryginału: *Before I Fall*

Copyright © 2010 by Lauren Oliver. All rights reserved

Copyright © for the translation by Mateusz Borowski

Opieka redakcyjna: Adriana Celińska, Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Wydawnictwo PLUS

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © iStockphoto.com / CoffeeAndMilk

ISBN 978-83-7515-344-6



www.moondrive.pl

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

PROLOG

Podobno tuż przed śmiercią całe życie staje człowiekowi przed oczami. W moim przypadku było inaczej.

Szczerze mówiąc, wyobrażenie, że w swojej ostatniej chwili zobaczę całe życie, wydawało mi się zawsze trochę przerażające. Niektóre sprawy lepiej traktować jak niebyłe, jak powiedziałyby moja mama. Na przykład z ochotą zapomniałabym, co się działo, kiedy byłam w piątej klasie (nosiłam okulary i różowy aparat ortodontyczny). Czy ktokolwiek chciałby jeszcze raz przeżyć swój pierwszy dzień w liceum? Podobnie lepiej puścić w niepamięć wszystkie nudne wczasy z rodziną, bezsensowne lekcje algebry, bóle menstruacyjne i słabe pocałunki, które ledwo przeżyłam...

Skłamałabym jednak, mówiąc, że nie chcę przeżyć ponownie kilku wydarzeń z mojej listy absolutnych przebojów: jak po raz pierwszy całowałam się z Robem Cokranem na samym środku parkietu w czasie balu absolwentów i wszyscy wiedzieli, że jesteśmy razem; jak pewnego razu w maju upiłam się z Lindsay, Elody i Ally, a potem próbowałyśmy na trawniku przed domem Ally zostawić odciski naszych ciał podobne do orłów, które robi się w śniegu; jak w moje szesnaste urodziny zapaliliśmy setkę świeczek i tańczyliśmy na stole w ogrodzie przy domu; jak w czasie Halloween razem z Lindsay splatałyśmy figła

Clarze Seuse i potem ścigała nas policja, a my prawie porzygałyśmy się ze śmiechu. Te momenty chciałabym zapamiętać. Chciałabym, żeby dzięki tym momentom pamiętano o mnie.

Ale tuż przed śmiercią nie myślałam o Robie ani o żadnym innym facecie. Nie pomyślałam o żadnej z niesamowitych przygód, jakie przeżyłam z przyjaciółmi. Nie pomyślałam nawet o mojej rodzinie ani o tym, jak poranne światło barwi ściany sypialni na kremowo, ani o zapachu kwitnących w lipcu azalii, wydzielających woń miodu i cynamonu.

Pomyślałam natomiast o Vicky Hallinan.

A konkretnie o tym dniu w czwartej klasie, kiedy na wuefie mieliśmy grać w dwa ognie, a Lindsay oznajmiła wszem i wobec, że nie zamierza przyjąć Vicky do naszej drużyny.

– Jest taka gruba, że można ją trafić z zamkniętymi oczami – wypaliła.

Jeszcze wtedy nie przyjaźniłam się z Lindsay, ale już zauważyłam, że każda jej wypowiedź zamienia się w nieodparcie śmieszny żart. Śmiałam się razem z wszystkimi, a twarz Vicky zrobiła się fioletowa jak spodnia strona burzowej chmury.

W ostatnim rozbłysku świadomości przed śmiercią, kiedy powinno się doznać objawienia i przeniknąć na wskroś sens całej przeszłości, ja przypominałam sobie zapach lakieru i pisk trampek na wypolerowanej podłodze, ciasne elastyczne szorty i śmiech niosący się echem po wielkiej, pustej przestrzeni, jakby w sali gimnastycznej było znacznie więcej niż dwadzieścia pięć osób.

I twarz Vicky.

Co dziwne, nie myślałam już od dawna o tej sytuacji. Na pewno do was też wracają czasem wspomnienia, które wydawały się zupełnie zapomniane. Nie, bynajmniej nie była to dla Vicky wielka trauma. Przecież dzieciaki często robią sobie na złość. Nic wielkiego. Zawsze ktoś się z kogoś śmieje, każdego dnia, w każdej szkole, w każdym mieście w Ameryce i – jak się domyślam – na całym świecie. Dorastanie polega właśnie na tym, żeby się nauczyć, jak zawsze stać po stronie tych, którzy się śmieją.

Zacznijmy od tego, że Vicky wcale nie jest gruba – owszem, miała zaokrągloną twarz i brzuszek, ale w liceum zgubiła zbędne kilogramy i urosła o sześć centymetrów. I nawet zaprzyjaźniła się z Lindsay. Razem grały w hokeja na trawie i zawsze witały się w korytarzu. Kiedy byliśmy już w pierwszej klasie, Vicky przypominała tę historię na jakiejś imprezie – wszyscy już mieliśmy trochę w czubie – i śmialiśmy się jak wariaci, a Vicky najgłośniej, aż jej twarz zrobiła się prawie tak fioletowa jak wtedy, kilka lat wcześniej.

To dziwne zjawisko numer jeden.

Ale co jeszcze dziwniejsze, rozmawialiśmy wtedy właśnie o tym, co się dzieje tuż przed śmiercią. Nie pamiętam, jak zeszyliśmy na ten temat. Przypominam sobie tylko, jak Elody zarzucała mi, że zawsze wpycham się na miejsce obok kierowcy. Nie chciała zapiąć pasów i cały czas przechylała się do przodu, żeby poszukać jakiejś piosenki na iPodzie Lindsay, choć to mnie przysługiwały przywileje DJ-a. Próbowалаm objaśnić wszystkim moją teorię „listy przebojów” na okoliczność śmierci i każda z nas wymieniała swoje hity. Lindsay wybrała oczywiście ten moment, kiedy zdała sobie sprawę, że zabujała się w Duke’u, a Ally – która jak zawsze narzekała na zimno, twierdząc, że za moment zejdzie z tego świata na zapalenie płuc – brała udział w dyskusji na tyle długo, by powiedzieć, że mogłaby w nieskończoność przeżywać pierwszy pocałunek z Mattem Wilde’em, co zresztą żadnej z nas nie zdziwiło. Lindsay i Elody paliły papierosy, a przez uchylone szyby do wnętrza wdzierały się lodowate krople deszczu. Wąska droga wila się zakolami, a po obu stronach brunatne nagie gałęzie falowały, jakby wiatr porwał je do tańca.

Elody miała już chyba dość marudzenia Ally, bo włączyła piosenkę With or Without You. To była piosenka Matta i Ally, porzuconej we wrześniu. Ally nazwała Elody suką, odpięła pas, przechyliła się i próbowała dosięgnąć iPod’a. Lindsay jęknęła, bo ktoś szturchnął ją łokciem w kark. Papieros wypadł jej z ust i wylądował między udami. Lindsay zaczęła przeklinać, próbując strzepnąć

żarzący się popiół z tapicerki, Elody i Ally klóciły się zapamiętałe, a ja próbowałam je przekrzyczeć, przypominając historię o tym, jak chcieliśmy robić śniegowe orły w maju. Samochód ślizgał się raz po raz na mokrej jezdni, pełen dymu papierosowego, którego niewielkie obłoki unosiły się w powietrzu jak duchy.

Nagle przed nami rozbłysło jasne, białe światło. Lindsay krzyknęła, ale nie rozumiałam jej – coś jakby s z a j s albo s t ó j, albo z j a z d – i wtedy samochód zjechał z drogi wprost w czarne usta lasu. Usłyszałam straszliwy zgrzyt – metal pocierał o metal, tłukło się szkło, samochód zgiął się wpół – i poczułam, że coś się pali. Przez sekundę zastanawiałam się nawet, czy Lindsay zgasiła papierosa.

A potem z przeszłości wyłoniła się twarz Vicky Hallinan. Usłyszałam, jak wokół mnie rozbrzmiewa echem śmiech, który przeradza się w krzyk.

A potem pustka.

Problem polega na tym, że takie wydarzenia następują bez zapowiedzi. Nie budzisz się z dziwnym bólem brzucha, który zwiastuje katastrofę. Nie widzisz żadnych cieni tam, gdzie ich nie powinno być. Nie pamiętasz o tym, żeby powiedzieć rodzicom, że ich kochasz, czy – jak było w moim wypadku – w ogóle się z nimi pożegnać.

Jeśli jesteś kimś podobnym do mnie, to budzisz się siedem minut i czterdzieści siedem sekund przed tym, jak twoja najlepsza przyjaciółka ma po ciebie przyjechać. Myślisz tylko o tym, ile róż dostaniesz na Dzień Kupidyna, więc ledwo jesteś w stanie coś na siebie włożyć, umyć zęby i modlić się do dobrego Boga, żeby okazało się, że na dnie torby zostawiłaś kosmetyczkę i będziesz mogła zrobić makijaż w samochodzie.

Jeśli jesteś kimś podobnym do mnie, ostatni dzień twojego życia wygląda zapewne tak:

ROZDZIAŁ 1

– Biiip, biiip! – krzyczy Lindsay.

Kilka tygodni wcześniej moja mama zrobiła jej awanturę o to, że codziennie za pięć siódma rano swoim trąbieniem budzi całą okolicę. Więc Lindsay tak rozwiązała problem.

– Już idę! – odkrzykuję, choć przecież Lindsay widzi, jak wybiegam przez frontowe drzwi, próbując jednocześnie włożyć kurtkę i wcisnąć segregator do torby.

W ostatniej chwili moja ośmioletnia siostra Izzy ciągnie mnie za rękę.

– Co? – Obracam się szybko.

Młodsza siostrzyczka zawsze przypomina mi o swoim istnieniu, kiedy jestem zajęta, spóźniona albo kiedy rozmawiam przez telefon z moim chłopakiem. Właśnie wtedy zazwyczaj zaczyna wchodzić mi na głowę.

– Zapomniałaś o rękawiczkach – mówi, choć w jej wydaniu brzmi to jak „ziapomniałaś o rękawickach”. Upiera się, że nie pójdzie do logopedy, choć sepleni tak, że wszystkie dzieci w szkole się z niej nabijają. Twierdzi, że lubi tak mówić.

Biorę od niej rękawiczki. Są z kaszmiru, a ona pewnie usmarowała je masłem orzechowym. Bezustannie coś podjada.

– Ile razy mam ci powtarzać, Izzy – mówię, stukając ją w sam środek czoła – żebyś nie dotykała moich rzeczy.

Chichocze jak idiotka i muszę zagonić ją do domu, żeby zamknąć drzwi. Gdyby to od niej zależało, snułaby się za mną przez cały dzień jak wierny pies.

Kiedy wychodzę wreszcie z domu, Lindsay wychyla się z okna swojego Czołgu, jak nazywamy jej samochód: olbrzymiego, srebrnego range rovera. Kiedy tylko nim jeździmy, ktoś zawsze musi powiedzieć:

– To nie samochód, tylko ciężarówka.

A Lindsay twierdzi, że nawet ze zderzenia z osiemnastokołowym tirem wyszłaby bez najmniejszego draśnięcia. Z nas wszystkich tylko ona i Ally mają własne samochody. Ally ma małego, czarnego volkswagena jettę, którego ochrzciłyśmy imieniem Mikrus. Ja czasami pożyczam od mamy hondę accord. Biedna Elody musi sobie radzić z należącym do jej ojca przedpotopowym jasnobrązowym fordem taurusem, który ledwo co jeździ.

Powietrze jest lodowate, choć nie wieje wiatr. Niebo ma kolor idealnie bladego błękitu. Słońce, słabe i wodniste, leży jeszcze na horyzoncie, jakby nie miało siły, żeby się pozbierać do kupy. Zapowiadali, że później może nadejść burza, ale tego nigdy nie wiadomo.

Siadam na miejscu obok kierowcy. Lindsay już pali i końcem papierosa wskazuje na kawę z Dunkin' Donuts, którą mi kupiła.

– Bajgle? – pytam.

– Na tylnym siedzeniu.

– Z sezamem?

– No jasne. – Omiata mnie wzrokiem, kiedy zjeżdżamy z podjazdu przed moim domem. – Fajna spódnica.

– Twoja też.

Lindsay salutuje na znak, że przyjęła komplement. Właściwie mamy na sobie takie same spódnice. Tylko dwa razy w roku Lindsay, Ally, Elody i ja ubieramy się celowo w takie same ciuchy: w Dzień Piżamy w czasie dni otwartych szkoły, bo

w zeszłym roku na Boże Narodzenie wszystkie kupiłyśmy sobie śliczne, dwuczęściowe piżamy Victoria's Secret, i w Dzień Kupidyna. Kłóciłyśmy się przez trzy godziny w centrum handlowym o to, czy wybrać coś różowego czy coś czerwonego. Lindsay nienawidzi różowego, a Ally zawsze ma na sobie coś w tym kolorze. Wreszcie zdecydowałyśmy się na czarne mini i obszyte czerwonym futerkiem podkoszulki na ramiączkach, które znalazłyśmy w koszu z towarami z przeceny w jednym ze sklepów odzieżowych.

Jak już wspominałam, tylko w te dwa dni c e l o w o ubieramy się jednakowo. Ale w mojej szkole – Liceum imienia Thomasa Jeffersona – właściwie wszyscy wyglądamy tak samo. W naszej szkole nie ma obowiązku noszenia mundurków, ale dziewięć na dziesięć osób nosi strój składający się z dżinsów Seven, szarych adidasów New Balance, białego T-shirtu i kolorowej bluzy z polaru The North Face. Z wyglądu chłopcy i dziewczyny niczym się nie różnią – może tylko tym, że my nosimy węższe dżinsy i musimy co rano suszyć włosy. To Connecticut: tu chodzi o to, żeby wyglądać jak wszyscy wokół.

Nie oznacza to, że w naszej szkole brakuje świrów – bo nie brakuje – ale nawet oni świrują na jedno kopyto. Ekoświry jeżdżą do szkoły na rowerach, ubierają się w jutowe worki i nie myją włosów, jakby posiadanie dredów pomagało zmniejszyć emisję gazów powodujących efekt cieplarniany. Rozhisteryzowane Gwiazdy nie rozstają się z wielkimi termosami herbaty z cytryną, nawet w środku lata chodzą w szalikach i niewiele mówią w czasie zajęć, bo „oszczędzają głos”. Członkowie Ligi Matematyków mają zawsze dziesięć razy tyle książek co wszyscy inni, nadal korzystają z szatni i mają na twarzy wypisane wieczne zdenerwowanie, jakby spodziewali się, że za moment ktoś wyskoczy zza rogu i ich przestraszy.

Mnie to nie przeszkadza. Czasem z Lindsay snujemy plany, że zaraz po maturze uciekniemy do Nowego Jorku i zamieszkamy na jakimś poddaszu razem z kumplem jej przyrodniego brata,

tatuażystą. Ale w głębi duszy naprawdę lubię Ridgeview. Daje mi poczucie spokoju, jeśli wiecie, co mam na myśli.

– Niech no tylko Patrick spróbuje nie dać mi róży – mówi Lindsay, kiedy z prędkością światła mija pierwszy znak stopu, a potem niemal łamie mi kark, kiedy z piskiem opon hamuje przed następnym. Patrick to chłopak, z którym Lindsay cyklicznie schodzi się i rozstaje. Od początku roku szkolnego zerwali ze sobą trzystaście razy, ustanawiając rekord nie do pobicia.

– Musiałam siedzieć obok Roba, kiedy wypełniał formularz zgłoszeniowy – powiedziałam, przewracając oczami. – Czułam się jak na przymusowych robotach.

Chodzę z Robem Cokranem od października, ale kochałam się w nim już od szóstej klasy, kiedy on był zbyt *cool*, żeby ze mną w ogóle rozmawiać. Rob to pierwszy chłopak, w którym się zabużałam, to znaczy po raz pierwszy *n a p r a w d ę*. Raz całowałam się z Kentem McFullerem w trzeciej klasie, ale to się oczywiście nie liczy, bo tylko wymieniliśmy pierścionki zrobione z kwiatków i udawaliśmy męża i żonę.

– W zeszłym roku dostałam dwadzieścia dwie róże – powiedziała Lindsay, wyrzucając przez okno niedopałek papierosa i nachylając się po łyk kawy. – W tym roku chcę dwadzieścia pięć.

Każdego roku przed Dniem Kupidyna samorząd uczniowski rozstawia przed salą gimnastyczną stoisko. Za dwa dolary można kupić dla przyjaciół valogramy – róże z przyklejonymi do nich karteczkami – które przez cały dzień do adresatów dostarczają Kupidyni (zazwyczaj pierwszorocznicy, którzy próbują nawiązać dobre kontakty ze starszymi uczniami).

– Mnie by wystarczyło piętnaście – powiedziałam.

Liczba róż ma ogromne znaczenie. Po tym można poznać, kto jest popularny, a kto nie. Jeśli dostaniesz mniej niż dziesięć – jest źle. Mniej niż pięć to już prawdziwe upokorzenie. Oznacza to po prostu, że jesteś brzydka jak noc albo nikt cię nie zna. A najpewniej jedno i drugie. Niektórzy zbierają róże, które ktoś przypadkowo upuścił, i dodają do swoich bukietów, ale to i tak widać.

– No i? – zapytała Lindsay, patrząc na mnie z ukosa. – Cieszysz się? Wielki dzień. Musisz się na niego otworzyć. – Zaśmiała się. – Niezamierzony żart.

Wzruszyłam ramionami i odwróciłam się w stronę okna, obserwując, jak mój oddech zamarza na szybie.

– To nic wielkiego.

W weekend rodzice Roba wyjeżdżają. Parę tygodni temu Rob zapytał mnie, czy chciałabym spędzić u niego noc. Wiedziałam, że tak naprawdę pyta, czy chcę z nim uprawiać seks. Kilka razy byliśmy już naprawdę blisko, ale działa się to na tylnym siedzeniu bmw jego taty albo w czyjejś piwnicy, albo u mnie w piwniczce z kominkiem, kiedy rodzice spali na górze. Ale nigdy nie czułam, że to jest to. Kiedy więc zapytał, czy zostanę na noc, bez namysłu się zgodziłam.

Lindsay piszczy i uderza dłońmi w kierownicę.

– Nic wielkiego? Żartujesz? Moja dziecinka dojrzeła.

– Daj spokój.

Czuję ciepło na karku i wiem, że na twarzy wykwitają mi czerwone plamy. Zawsze tak jest, kiedy się wstydzę. Nie pomogą na to wszyscy dermatolodzy, wszystkie kremy i pudry w Connecticut. Kiedy byłam młodsza, dzieci wołały na mnie Pomidor.

Potrząsnęłam lekko głową i wytarłam zaparowaną szybę. Świat za oknem lśnił, jakby ktoś pokrył go warstwą lakieru.

– Kiedy wy to zrobiliście z Patrickiem? Trzy miesiące temu?

– Tak, ale później nadrabialiśmy stracony czas.

Lindsay zaczęła kołysać się dziko w przód i w tył.

– Ohyda.

– Nie martw się, dziecinko, wszystko będzie dobrze.

– Nie mów do mnie „dziecinko”.

Właśnie dlatego zgodziłam się na seks z Robem dziś wieczorem – żeby Lindsay i Elody przestały się wreszcie ze mnie nabi-jać. Dzięki Bogu Ally jest jeszcze dziewicą, więc nie będę ostatnia. Czasem czuję się tak, jakbym z całej naszej czwórki wlokła się zawsze na szarym końcu, na doczepkę.

– Powiedziałam, że to nic wielkiego – powtórzyłam.

– Skoro tak mówisz.

Lindsay wytrąciła mnie z równowagi, więc liczę wszystkie skrzynki pocztowe, które mijamy. Zastanawiam się, czy jutro będę na wszystko patrzyła inaczej i czy inni będą inaczej patrzeć na mnie. Mam nadzieję.

Podjeżdżamy pod dom Elody. Lindsay chce zatrąbić, ale drzwi otwierają się i Elody zaczyna ostrożnie kroczyć po oblodzonym chodniku – z trudem utrzymuje równowagę, bo ma buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Wygląda tak, jakby nie mogła rozstać się z domem.

– Sutki ci nie zeszytniały na tym zimnie? – pyta Lindsay, kiedy Elody wsiada do auta. Jak zawsze ma na sobie tylko cienką skórzaną kurtkę, choć zapowiadano, że temperatura nie będzie wyższa niż minus siedem stopni.

– Po co mam wyglądać *sexy*, skoro nie mogę tego pokazać? – Elody trzęsie biustem, a my zaczynamy się śmiać. Kiedy ona jest w pobliżu, nie sposób się stresować. Przechodzi mi skurcz żołądka.

Elody gestem daje mi znać, żebym podała jej kawę. Wszystkie pijemy taką samą: dużą, o smaku orzechowym, bez cukru, z dodatkową śmietanką.

– Patrz, gdzie siadasz. Zmiażdżysz bajgle. – Lindsay rzuca jej w lusterku wstecznym lodowate spojrzenie.

– Wiem, że właśnie tego chcesz. – Elody klepie ją w tyłek i znowu wszystkie się śmiejemy.

– Zostaw coś dla Muffina, ty napalona suko.

Steve Dough to ostatnia ofiara Elody. Nazwała go Muffin, bo jego nazwisko oznacza po angielsku „ciasto”, no i dlatego, że niezłe z niego ciacho (o n a tak twierdzi; jak dla mnie wygląda trochę podejrzanie i pachnie marihuaną). Poznali się kilka tygodni temu.

Elody ma najwięcej doświadczenia z nas wszystkich. Straciła dziewictwo w drugiej klasie i uprawiała seks już z dwoma facetami. To ona powiedziała mi, że czuła ból po kilku pierwszych

stosunkach, przez co zaczęłam się bać dziesięć razy bardziej. Może to głupie, ale nigdy nie myślałam o tym jako o doznaniu fizycznym, o czymś, co może wywoływać ból, jak piłka nożna lub jazda konna. Przeraziłam się, że nie będę wiedziała, co zrobić, jak wtedy, kiedy graliśmy na wuefie w koszykówkę i wciąż zapominałam, kogo powinienam kryć i kiedy mam podać piłkę, a kiedy kozłować.

– Mmm, Muffin – Elody klepie się po brzuchu. – Umieram z głodu.

– Masz tu bajgla – mówię.

– Z sezamem? – pyta Elody.

– No jasne – mówimy jednocześnie z Lindsay, która puszcza do mnie oko.

Podjeżdżając pod szkołę, opuszczamy szyby i na cały regulator włączamy piosenkę *No More Drama* Mary J. Blige. Zamykam oczy i powracam w pamięci do balu absolwentów i pierwszego pocałunku z Robem, kiedy przyciągnął mnie do siebie na parkiecie i nagle zetknęły się nasze usta, a jego język wślizgnął się pod mój i poczułam, jak ciepło wszystkich kolorowych światełek otula mnie niczym silna dłoń, jak muzyka rozbrzmiewa mi w klatce piersiowej, a serce trzepoce i bije w rytm muzyki. Zimne powietrze wdzierające się przez okno powoduje, że zaczyna mnie boleć gardło, a uderzenia basu czuję w stopach, tak jak tamtego dnia, kiedy zdawało mi się, że nigdy nie będę szczęśliwsza; dźwięk podchodzi mi do głowy i oszałamia mnie, jakby za chwilę miał rozetrwać samochód na strzępy.

Popularność – analiza

Popularność to dziwna rzecz. Tak naprawdę nie da się jej zdefiniować i nie wypada o niej rozmawiać, ale kiedy już się ją zauważy, to nie sposób jej z niczym innym pomylić. Jak zeza albo porno.

Lindsay jest prześliczna, ale Elody, Ally i ja nie różnimy się niczym od przeciętnego człowieka. Oto moje atuty: duże brązowe oczy, proste i białe zęby, wysokie kości policzkowe i długie nogi. Oto moje wady: za długi nos, skóra, na której pojawiają się plamy, kiedy się zdenerwuję, i płaski tyłek.

Becky DiFiore jest tak śliczna jak Lindsay, ale nie sądzę, by przed balem maturalnym udało jej się zaliczyć choć jedną randkę. Ally ma duże cycki, a moje ledwo co widać (jak Lindsay ma zły humor, to mówi na mnie Samuel, a nie Sam czy Samantha). Bynajmniej daleko nam do doskonałości, a nasze oddechy nie zawsze pachną jak bzy. Kiedyś Lindsay wzięła udział w konkursie bekania z Jonahem Sasnoffem w stołówce i wszyscy nagrodzili ją gromkimi oklaskami. Czasami Elody chodzi do szkoły w żółtych, puchatych klapkach. Kiedyś na wiedzy o społeczeństwie tak się śmiałam, że zaplułam waniliową caffè latte całą łąkę Jake'a Somersa. Miesiąc później w domu Lily Angler całowałam się z Jakiem w komórce na narzędzia (posiadał zero umiejętności).

Chodzi o to, że nam wolno coś takiego zrobić. Dlaczego? Bo jesteśmy popularne. A jesteśmy popularne, bo wszystko uchodzi nam na sucho. Koło się zamyka.

Chcę powiedzieć tylko tyle, że nie ma sensu tego analizować. Jak narysujesz koło, to zawsze coś będzie w środku, a coś na zewnątrz. I tylko kompletny kretyń nie wie, która strona jest która. Tak po prostu jest i kropka.

Nie mam zamiaru kłamać. Fajnie, że wszystko przychodzi nam z taką łatwością. Dobrze wiedzieć, że możesz zrobić, co tylko zechcesz, i nie spotkają cię za to żadne przykre konsekwencje. Kiedy już skończymy liceum i popatrzymy wstecz, to przynajmniej będziemy mieć pewność, że nie popełniłyśmy żadnego błędu, całując się z najprzystojniejszymi chłopakami, chodząc na najlepsze imprezy, robiąc sobie tyle kłopotów, ile trzeba, słuchając za głośno muzyki, za dużo paląc i pijąc, za dużo się śmiejąc, za mało słuchając innych, jeśli w ogóle kogokolwiek słuchałyśmy. Gdyby

liceum porównać do gry w pokera, to Lindsay, Ally, Elody i ja miałybyśmy w ręku najmocniejsze karty.

Wierzcie mi, w i e m, jak to jest po drugiej stronie. Byłam tam przez pierwszą połowę mojego życia. Na samym dnie, tak głęboko, jak tylko się da. Wiem, co to znaczy zjadać resztki ze stołu.

A teraz to mnie pierwszej podają główne danie. I co z tego? Tak to właśnie jest.

Kto powiedział, że życie ma być sprawiedliwe.

Wjeżdżamy na parking dokładnie dziesięć minut przed pierwszym dzwonkiem. Lindsay kieruje się w stronę miejsc dla nauczycieli, przy okazji rozpraszając grupkę dziewczyn z drugiej klasy. Spod płaszczy wystają im białe i czerwone koronkowe sukienki, a jedna z nich ma na głowie diadem. To na pewno Kupidynki.

– No dalej, dalej, dalej – mówi pod nosem Lindsay, kiedy podjeżdżamy na tyły sali gimnastycznej. To jedyny szereg w tej części parkingu nie przeznaczony dla nauczycieli. Nazywamy go Aleją Seniorów, chociaż Lindsay parkowała tu od pierwszej klasy. W naszym liceum to parking dla VIP-ów, a kto nie zajmie sobie tu w porę miejsca, musi jechać na parking dla uczniów, oddalony o całe 354 metry od głównego wejścia. Kiedyś to zmierzaliśmy i kiedy tylko o tym rozmawiamy, zawsze któraś z nas musi przypomnieć, ile dokładnie wynosi odległość.

– Naprawdę chcesz iść 354 metry w tym deszczu?

Lindsay piszczy na widok wolnego miejsca, gwałtownie skręcając w lewo. W tym momencie Sarah Grundel nadjeżdża z przeciwnej strony swoim brązowym chevroletem i próbuje je zająć.

– No, na pewno. Nie ma mowy. – Lindsay naciska gwałtownie klakson i pedał gazu, choć oczywiście to Sarah była pierwsza. Elody krzyczy, kiedy gorąca kawa wylewa się jej na bluzkę. Słysząc pisk opon, a Sarah Grundel gwałtownie hamuje w ostatniej chwili, dzięki czemu range rover Lindsay nie urywa jej zderzaka.

– O, jak miło. – Lindsay wjeżdża na miejsce i parkuje. Potem otwiera drzwi i wychyla się z samochodu. – Wybacz, kochanie – woła do Sarah. – Nie zauważyłam cię. – Oczywiście kłamie.

– Fantastycznie – mówi Elody, próbując zwinąć serwetkę z Dunkin’ Donuts zetrzeć plamy z kawy. – Teraz cały dzień będę paradować z cyckami pachnącymi jak orzechy.

– Faceci lubią zapach jedzenia – mówię. – Czytałam artykuł w „Glamour”.

– Wsadź sobie do majtek ciastko, a Muffin się na ciebie rzuci, jeszcze zanim wejdziesz do klasy. – Lindsay ustawia lusterko wsteczne tak, żeby mogła się w nim przejrzeć.

– Może powinnaś tego spróbować z Robem, Sammy. – Elody rzuca we mnie serwetką mokrą od kawy, a ja chwytam ją w locie i odrzucam. – Co? – Śmieje się. – Nie sądziłaś chyba, że zapomnę o twojej wielkiej nocy? – Grzebie w torebce i rzuca we mnie zmiętym opakowaniem z kondomem, do którego przylepiły się drobiny tytoniu. Lindsay wyje ze śmiechu.

– Wariatki – mówię i biorę kondom w dwa palce. Wrzucam go do skrytki w samochodzie. Już samo dotykanie go powoduje, że się denerwuję i czuję, jak mój żołądek się skręca. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego kondomy pakuje się w te plastikowe opakowania. Wyglądają jak lekarstwa, jak coś, co lekarz przepisuje na alergię albo niezbyt jelit.

– Nie ma oprawy, nie ma zabawy – mówi Elody, nachyla się i całuje mnie w policzek. Zostawia na nim wielki, różowy odcisk błyszcząca.

– Chodźmy. – Wsiadam szybko z auta, zanim zobaczą, że się czerwienię.

Kiedy wsiadamy, pan Shaw, nauczyciel wuefu, stoi przed salą gimnastyczną i najprawdopodobniej ogląda nasze tyłki. Elody uważa, że uparł się, żeby mieć gabinet zaraz obok szatni dla dziewczyn, bo zainstalował w łazience kamerę, podłączoną do swojego komputera. Bo niby p o c o innego mu komputer? To w u e f i s t a. Od tego czasu wpadam w paranoję, kiedy idę się wysikać.

– Tempo, moje panie – krzyczy do nas. Pan Shaw opiekuje się też drużyną piłkarską, co zakrawa na ironię, biorąc pod uwagę, że pewnie nie dałby rady przebiec tam i z powrotem do automatu z batonami. Wygląda jak sum. Ma nawet wąsy. – Inaczej będę wam musiał wpisać uwagę za spóźnienie.

– Inaczej będę musiał dać wam w tyłek – naśladuję jego dziwnie wysoki głos. To dlatego Elody myśli, że jest pedofilem. Razem z Lindsay zaczynają się śmiać.

– Dzwonek za dwie minuty – mówi Shaw jeszcze ostrzej. Pewnie mnie usłyszał. Mam to gdzieś.

– Wspaniały piątek – mamrocze Lindsay i obejmuje mnie ramieniem.

Elody wyciąga telefon komórkowy i ogląda sobie zęby w odbiciu na powierzchni ekranu. Różowym paznokciem wydlubuje ziarna sezamu spomiędzy zębów.

– Ale kaszana – mówi, nie podnosząc nawet wzroku.

– Kompletna – potwierdzam. Piątek to najcięższy dzień, bo wolność już czeka za zakrętem. – Zabijcie mnie.

– Nie ma mowy – Lindsay ścisza mnie za ramię. – Nie pozwolę, by moja najlepsza przyjaciółka umarła jako dziewczica.

Widzicie, niczego się nie spodziewaliśmy.

Na dwóch pierwszych przerwach – po plastyce i historii (kurs rozszerzony, zawsze najbardziej lubiłam historię) – dostaję łącznie tylko pięć róż. Nie mam o to do nikogo pretensji, ale nieco wkurza mnie, że Eileen Cho dostała c z t e r y od swojego chłopaka, Iana Dowela. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić o to samo Roba. A swoją drogą uważam, że to nie *fair*. Potem ludzie myślą, że masz więcej przyjaciół, niż faktycznie masz.

Na samym początku lekcji chemii pan Tierney ogłasza niezapowiedzianą kartkówkę. To dla mnie spory problem,

ponieważ (a) od czterech tygodni nie rozumiałam ani słowa z zadań domowych (no dobra, przyznaję, przestałam próbować już po pierwszym tygodniu) i (b) pan Tierney wciąż grozi, że będzie powiadamiał komisje egzaminacyjne na uczelniach, na które chcemy się dostać, o naszych negatywnych ocenach. Nie wiem, czy mówi serio czy tylko próbuje jakoś zapanować nad starszymi klasami, ale nie ma bata – nie pozwolę, żeby jakiś nauczyciel faszysta zrujnował moje szanse na dostanie się na uniwersytet.

Co gorsza, siedzę w ławce z Lauren Lornet, najprawdopodobniej jedyną osobą w klasie, która wie na ten temat jeszcze mniej niż ja.

Prawdę mówiąc, moje oceny z chemii w tym roku nie są aż takie złe, ale to bynajmniej nie dlatego, że dzięki naglej epifanii objawił mi się sens interakcji protonów z elektronami. Moją średnią pięć zero tłumaczą dwa słowa: Jeremy Ball. Jest chudszy ode mnie i jego oddech pachnie płatkami kukurydzianymi, ale pozwala mi odpisywać zadania domowe, a w czasie sprawdzianów przesuwa swoją ławkę w stronę mojej, żebym mogła dyskretnie zrzuć od niego odpowiedzi. Niestety, przed zajęciami Tierneya poszłam do ubikacji, żeby pogadać z Ally – zawsze spotykamy się w łazience przed czwartą lekcją, bo kiedy ja mam chemię, ona idzie na biologię – dlatego przyszłam za późno i moje miejsce obok Jeremiego było już zajęte.

Kartkówka składa się z trzech pytań, a ja nie wiem nawet tyle, żeby udawać, że znam odpowiedzi na choć jedno z nich. Obok mnie Lauren, pochylona nad kartką, zagryza język. Zawsze to robi, kiedy myśli. Jej pierwsza odpowiedź wygląda całkiem nieźle. Zawsze pisze odpowiedzi z rozwagą i namaszczeniem, nigdy nie bazgrze na wariata, tak jak zazwyczaj się robi, kiedy nie ma się pojęcia o temacie i liczy się tylko na to, że jeśli nasmaruje się dostatecznie dużo, to nauczyciel nie zauważy. (Tak na przyszłość – to się nigdy nie sprawdza). I nagle przypominam sobie, że pan Tierney w zeszłym tygodniu strzelił Lauren kazanie na

temat jej rzekomo zbyt niskich ocen. Może zaczęła przykładać się do nauki.

Zerkam przez ramię Lauren i odpisuję odpowiedzi – robię to naprawdę dyskretnie – kiedy pan Tierney wykrzykuje:

– Trzy minutyyyyy!

Mówi to tak dramatycznie, jakby dubbingował film, aż trzęsie mu się jego tłusty podbródek.

Lauren chyba już skończyła i tylko sprawdza wyniki, ale nachyliła się tak bardzo nad kartką, że nie widzę trzeciej odpowiedzi. Patrzę, jak wskazówka sekundowa nieubłaganie się porusza. Tierney wyje: „Dwie minutyyyyy trzydzieści sekuuuuund!”, a ja nachylam się i szturcham Lauren długopisem. Podnosi wzrok, zdumiona. Przez lata nie zamieniłam z nią nawet słowa i widzę, jak przez jej twarz przemyka cień, którego nie umiem rozszyfrować.

– D ł u g o p i s – mówię do niej bezgłośnie.

Nie wie, co jest grane i rzuca okiem na Tierneya, który na szczęście pochylił się właśnie nad podręcznikiem.

– Co? – szepcze.

Gestem pokazuję, że wypisał mi się długopis. Gapi się na mnie tępo i przez chwilę mam ochotę strzelić ją, żeby zetrzeć jej ten głupi wyraz twarzy.

– Dwie minutyyyyy!

Na szczęście jej twarz się wypogadza, a ona uśmiecha się, jakby właśnie wynalazła lekarstwo na raka. Może jestem niesprawiedliwa, ale to straszne, kiedy jest się wieśniarą i d o t e g o ma- tołem. Takim matołem, co to nie potrafi zagrać Beethovena ani wygrać okręgowego konkursu ortograficznego, ani dostać się na Harvard.

Kiedy Lauren schyla się i grzebie w torbie, szukając długopisu, odpisuję ostatnią odpowiedź. Już nawet zapominam, że ją prosiłam o coś do pisania, a ona szeptem próbuje zwrócić moją uwagę.

– Trzydzieściiii sekuuuund!



NAZYWAM SIĘ SAM KINGSTON.

Jestem popularna, mam przystojnego chłopaka i szalone przyjaciółki, z którymi świetnie się bawię. Czuję się lepsza od nudnych kujonów i śmieję się z dziewczyn, które nigdy nie dostały liściku miłosego. Robię, co chcę i kiedy chcę. Nie obchodzi mnie, czy kogoś zranię, bo i tak wszystko uchodzi mi na sucho. Aż do dzisiaj...

Wychodzę z imprezy. Oślepiają mnie światła samochodu jadącego z naprzeciwka. Czuję niewyobrażalny ból. Spadam w niekończącą się pustkę...

Umarłam?

A jednak budzę się w swoim łóżku. Tylko że znowu jest piątek 12 lutego, a ja od nowa przeżywam ten sam dzień. Czy naprawdę zasłużyłam na tak surową karę? Chcę tylko odzyskać moje idealne życie. Bo przecież było idealne, prawda?

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-344-6



9 788375 153446

Cena detal. 34,90 zł